

The background of the entire image is a photograph of a grand, ornate theater interior. A large, multi-tiered chandelier hangs from the ceiling, casting a warm glow. The theater has multiple levels of balconies with ornate gold-colored railings and red velvet seating. The stage is covered by a large, deep red velvet curtain. In the foreground, rows of red velvet seats are visible, and a man in a dark suit and a woman in a black dress are standing in the aisle, looking towards the stage.

Laura Bellini

Pocałunek pod fałszywym nazwiskiem

Uwierzyła w niego, zanim poznała jego
prawdziwe imię.

Pocałunek pod fałszywym nazwiskiem

Uwierzyła w niego, zanim poznała jego
prawdziwe imię.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - Człowiek spoza listy.....	12
Rozdział 2 - Stare zdjęcie.....	28
Rozdział 3 - To, czego nie było na planach.....	46
Rozdział 4 - Pokój numer 27	61
Rozdział 5 - Koperta bez nadawcy.....	80
Rozdział 6 - Dwadzieścia minut	95
Rozdział 7 - Oficjalnie po tej samej stronie	115
Rozdział 8 - Tym razem zapytałam ja	130
Rozdział 9 - Mur otwarty od drugiej strony	161
Rozdział 10 - Bez kina między nami	179
Rozdział 11 - Pieniądze, które wróciły.....	200
Rozdział 12 - To, co pamiętał naprawdę.....	220
Rozdział 13 - Podpis, którego nie pamiętał.....	242
Rozdział 14 - Tam, gdzie dźwięk umiera	260
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedział.....	281
Rozdział 16 - Cena wyboru	295
Rozdział 17 - Druga wersja prawdy	311
Rozdział 18 - Dokument, którego nie zniszczono.....	328
Rozdział 19 - To, co zostaje po prawdzie.....	352
Rozdział 20 - Pod własnym imieniem.....	367

INTRO

O dwudziestej trzeciej siedemnaście zgasto światło w całym kinie.

Nie przygasto, nie zamigotało ostrzegawczo. Po prostu zniknęło, zabierając ze sobą szum wentylatorów, brzęczenie transformatorów i cichy pomruk miasta przedostający się przez nieomknięte drzwi techniczne. Zostałam sama pośrodku dawnej sali kinowej, między rzędami foteli przykrytych folią, z laptopem w jednej ręce i miarką laserową w drugiej.

- Świetnie - powiedziałam do ciemności.

Nikt mi nie odpowiedział, co było jedyną uprzejmą rzeczą, jaka przydarzyła mi się tego dnia.

Kino Luna miało zostać ponownie otwarte za sześć tygodni. Przez ostatnie siedemnaście lat budynek służył kolejno jako magazyn mebli, nielegalna sala prób, miejsce trzech nieudanych inwestycji i dom dla populacji gołębi, której liczebności nikt rozsądny nie próbował ustalić. Teraz prywatna fundacja kupiła obiekt, dostała dofinansowanie miasta i zatrudniła mnie, żebym przywróciła wewnątrz coś, co w umowie nazwano "charakterem oryginalnej przestrzeni z uwzględnieniem współczesnych wymagań użytkowych".

Ja nazywałam to próbą przekonania starego kina, żeby nie rozpadło się na ludzi podczas pierwszego seansu.

Byłam architektką wewnątrz specjalizującą się w obiektach zabytkowych, miałam trzydzieści dwa lata, własną pracownię i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że jeżeli instalacja elektryczna przestawała działać

tydzień przed odbiorem pierwszego etapu, nie należało panikować.

Dlatego spanikowałam profesjonalnie.

Odłożyłam miarkę, wyciągnęłam telefon i włączyłam latarkę. Biała plama światła przesunęła się po bordowej kurtynie, której połowa wisiała już po renowacji, a połowa wciąż wyglądała, jakby przeżyła pożar, rozwód i kilka dekad palenia papierosów w zamkniętym pomieszczeniu.

Miałam właśnie zadzwonić do kierownika budowy, kiedy gdzieś za sceną coś stuknęło.

Zamarłam.

- Panie Pawle?

Cisza.

Paweł wyszedł ponad godzinę wcześniej. Wszyscy wyszli. Sama ich do tego namawiałam, zapewniając, że zostanę tylko dwadzieścia minut, zrobię ostatnie pomiary i zamknę budynek.

To było pięćdziesiąt trzy minuty temu.

Usłyszałam drugi dźwięk. Tym razem wyraźniejszy.

Kroki.

Podniosłam telefon wyżej.

- Halo?

- Jeśli zamierzasz uderzyć mnie tym telefonem, uprzedzam, że wygląda na drogi.

Głos dochodził z lewej strony sceny.

Po chwili w snopie światła pojawił się mężczyzna. Najpierw zobaczyłam dłoń uniesioną w geście poddania, później ciemną kurtkę i twarz, której zdecydowanie nie

spodziewałam się oglądać w opuszczonym kinie przed północą.

Miał może trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat. Ciemne włosy, kilkudniowy zarost i ten irytujący rodzaj spokoju charakterystyczny dla ludzi, którym świat rzadko każe tłumaczyć, dlaczego znaleźli się w miejscu, w którym nie powinni być.

- Kim pan jest?

- Człowiekiem, którego właśnie prawie oślepiłaś.

Opuściłam telefon o kilka centymetrów.

- To nie była odpowiedź.

Uśmiechnął się lekko.

- Marek Domański. Robię dokumentację fotograficzną dla fundacji.

Nazwisko nic mi nie mówiło.

- Nie ma pana na liście osób z dostępem do budynku.

- Bo miałem wejść tylko na pół godziny.

- Każdy włamywacz mógłby to powiedzieć.

- Włamywacz raczej nie siedziałby przez dwadzieścia minut w pomieszczeniu technicznym i nie próbował przywrócić ci prądu.

Popatrzyłam na niego uważniej.

- Próbował pan?

- Z umiarkowanym sukcesem.

Jakby na potwierdzenie gdzieś nad nami rozbłysła pojedyncza lampa awaryjna. Jej zielonkawe światło było tak ponure, że kino natychmiast zaczęło wyglądać jak plan taniego horroru.

Marek spojrzał w górę.

- Proszę. Atmosfera jest. Teraz brakuje tylko skrzypiec i nierozsądnej decyzji bohaterki, żeby zejść do piwnicy.

- Nie schodzę do piwnic z obcymi mężczyznami.

- To dobrze.

- Szczególnie z takimi, których nie ma na liście.

Jego uśmiech zniknął na moment.

Krótko. Prawie niezauważalnie.

- Rozsądna zasada.

Coś w tej odpowiedzi sprawiło, że przyjrzałam mu się ponownie. Nie wyglądał jak fotograf. Oczywiście nie istniał żaden oficjalny wygląd fotografa, ale spod kurtki wystawała biała koszula, a buty miał zbyt dobre jak na człowieka, który planował nocne chodzenie po zakurzonym zapleczu budowy.

- Gdzie ma pan aparat?

Wskazał plecakiem przewieszonym przez ramię.

- Tam.

- Pokaże pan identyfikator?

- Nie mam.

- Dokument?

Tym razem milczał odrobinę za długo.

- Został w samochodzie.

- Oczywiście.

Ruszyłam w stronę wyjścia. Minęłam go, zachowując dystans.

- Dokąd idziesz?

- Zamknąć obiekt i zadzwonić do ochrony.
- Drzwi od frontu są zablokowane elektromagnesem.

Odwrociłam się.

- Skąd pan wie?

W jego twarzy znów coś się zmieniło.

- Sprawdziałem.

Nie uwierzyłam mu.

Nie wiedziałam jeszcze dlaczego. Może przez zbyt szybką odpowiedź. Może dlatego, że kiedy powiedział "elektromagnes", spojrzał automatycznie w stronę bocznego korytarza prowadzącego do wyjścia technicznego, którego nie było na nowych planach udostępnionych zewnętrznym ekipom.

Ja wiedziałam o nim tylko dlatego, że trzy tygodnie wcześniej sama odnalazłam stare drzwi ukryte za płytą pilśniową.

- Jest drugie wyjście - powiedziałam.

- Wiem.

Słowo padło zanim zdążył je zatrzymać.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund.

- Fotograf fundacji ma imponującą wiedzę o budynku.

- Lubię wiedzieć, gdzie są wyjścia.

- Ja lubię wiedzieć, z kim jestem zamknięta po ciemku.

Tym razem się nie uśmiechnął.

- I słusznie.

Telefon w jego kieszeni zawibrował. Wyjął go, spojrzał na ekran i natychmiast odrzucił połączenie.

Przez sekundę widziałam tylko nazwę kontaktu.

Kancelaria Wysocki.

Nie było w tym niczego niezwykłego. Ludzie mieli prawników. Fotografowie również mogli mieć prawników.

Mimo to zapamiętałam nazwę.

- Chodź - powiedział. - Pokażę ci wyjście techniczne.

- Sama je znam.

Uniósł brew.

- W takim razie to ty pokażesz je mnie.

Powinnam była zadzwonić do ochrony. Powinnam była zostać przy wejściu, dopóki ktoś nie przyjedzie. Przede wszystkim powinnam była nie iść z obcym człowiekiem przez ciemne korytarze kina.

Poszłam.

Nie dlatego, że mu ufałam.

Jeszcze nie.

Kilka minut później, kiedy boczne drzwi nie chciały ustąpić, Marek uklęknął przy starym mechanizmie i bez słowa podał mi telefon, żebym mogła trzymać światło. Zrobił to w sposób tak naturalny, jakby uznawał za oczywiste, że nie musi niczego przede mną ukrywać. Na ekranie mignęło powiadomienie z wiadomością.

Nie przeczytałam treści.

Zobaczyłam tylko pierwsze słowa.

"Panie Aleksandrze..."

Ekran zgaśł.

Spojrzałam na niego.

- Marek?

Podniósł głowę.

Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że popełniłam błąd. Nie w imieniu.

W ocenie człowieka.

- Tak?

Podaliśmy mu telefon.

- Nic.

Drzwi otworzyły się chwilę później.

Na zewnątrz padał deszcz, ulica błyszczała od świateł samochodów, a zimne październikowe powietrze pachniało mokrym asfaltem. Stałam pod wąskim zadaszeniem. Marek został obok, wystarczająco blisko, żebym czuła ciepło jego ramienia, ale nie dotykał mnie.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedział.

- Nie trzeba.

- Wiem.

Spojrzałam na niego.

- To po co proponujesz?

- Bo chciałbym mieć powód, żeby spędzić z tobą jeszcze trzy minuty.

Po raz pierwszy tej nocy zabrakło mi szybkiej odpowiedzi.

Uśmiechnął się, ale tym razem nie było w tym pewności siebie. Raczej pytanie.

I właśnie dlatego pozwoliłam mu pójść ze mną.

Jeszcze nie wiedziałam, że Marek Domański nie istnieje.

Nie wiedziałam też, że kiedy kilka dni później pozwolę mu się pocałować, człowiek stojący przede mną będzie już miał wiele okazji, żeby powiedzieć mi prawdę.

Najgorsze miało nie być to, że podał mi fałszywe nazwisko.

Najgorsze miało być odkrycie, dlaczego potrzebował mojego zaufania, zanim odważył się podać własne.